

Cameron z wodą sodową

27 czerwca 2015

Niesieni powyborczym entuzjazmem torysi otwierają nowy polityczny front. George Osborne szykuje drastyczne cięcia, licząc na to, że łatwo upora się ze sprzeciwem poobijanej Labour. Zatrzymać go może jedynie społeczny opór.

Dla rządzących Wielką Brytanią torysów powyborczy miesiąc miodowy już minął. Przynajmniej w teorii. Brytyjska prawica wciąż jest jednak pijana niespodziewanym sukcesem. Zwłaszcza że powyborczy krajobraz sprzyja jej w podtrzymywaniu euforii. Partia Pracy jest politycznie zdruzgotana, ideowo wyjałowiona, skacowana po porażce i jak pobity, zmęczony alkoholik wciąż szuka sensu oraz drogi do domu. A także terapii. Liberalni Demokraci zapadli się niemal pod ziemię. UKIP, który miał być zagrożeniem w walce o głosy konserwatywnego elektoratu, chwilowo zniknął z politycznej sceny za sprawą wakacji swojego lidera Nigela Farage'a. Szkoccy Narodowcy (SNP) wciąż nie doszli do siebie po swoim sukcesie i dopiero szukają sobie miejsca w nowej konstelacji politycznej na Wyspach. Wszystko to oraz nieskrywany triumfalizm, a także błędne przekonanie torysów o silnym mandacie społecznym powodują, że David Cameron i George Osborne z entuzjazmem przystępują do realizacji swojej wyśniewanej konserwatywnej rewolucji – polityki oszczędności na sterydach.

NIEWIDZIALNE CIECIA

Program cięć Partii Konserwatywnej w wyborczej kampanii był skrzętnie ukrywany. Mówiono jedynie o tym, że ta polityka pozwoli zaoszczędzić do 2018 r. 12 mld funtów. Bez szczegółów. Milczenie w tej kwestii było zrozumiałe. Torysi albo nie chcieli straszyć wyborców, albo sami nie do końca wiedzieli, co dokładnie będą ciąć, albo też te 12 mld oszczędności miało być kartą przetargową w spodziewanych żmudnych koalicyjnych negocjacjach z liberałami. Teraz samodzielne rządy torysów

stawiają partię przed dylematami, przed którymi być może konserwatyści wcale nie chcieli stawać. Zwłaszcza że – jak pokazują analizy, które wyciekły z Whitehall – łatwych opcji już nie ma. W ostatnich pięciu latach rząd Camerona ciął mocno, ale brytyjskie społeczeństwo w zasadzie tej polityki oszczędnościowej nie odczuło, bo – jak policzył badacz Declan Gaffney na łamach „Economic Review” – mimo że Cameron i Osborne chwalili się, że udało im się obciąć 18 mld „niepotrzebnych wydatków”, w rzeczywistości rząd znalazł oszczędności w wysokości 2 mld funtów. Głównie dlatego, że drastyczne cięcia chociażby w zasiłkach dla bogatszych rodzin i w ulgach na dzieci zostały zniwelowane poprzez spore zwiększenie wydatków na zasiłki dla osób niepełnosprawnych oraz na housing benefit. Torysi nie tyle bowiem cięli, co po prostu przesuwali środki budżetowe z miejsca na miejsce. Było to posunięcie, przynajmniej z politycznego punktu widzenia, niezwykle skuteczne. Z jednej strony pozwoliło rządowi cyklicznie wysyłać w świat komunikat, że Londyn zaciekle walczy z deficytem i gotowy jest podejmować niepopularne decyzje w imię fiskalnego rygoru, z drugiej zaś kreowało w społeczeństwie brytyjskim mit o kompetencjach ekonomicznych ekipy rządzącej. Wyborcy codziennie dowiadywali się o kolejnych cięciach, ale w praktyce ich nie odczuwali. Niemniej pojawiające się w prasie i w telewizji liczby robiły wrażenie. Na tyle duże, że w ostatecznym rozrachunku w kwestiach gospodarczych Brytyjczycy bardziej ufali torysom niż laburzystom, co miało fundamentalny wpływ na wynik wyborów. Teraz ta budżetowa żonglerka nie będzie już możliwa.

Kogo zaboli? Jeśli David Cameron i George Osborne faktycznie chcą znaleźć 12 mld oszczędności, muszą przygotować się na prawdziwą batalię, gdyż czas łatwych cięć już bezpowrotnie minął. To, co zostało i można ciąć, albo odetnie resztkę tlenu dla najbiedniejszych, albo mocno uderzy w średnio zarabiające rodziny. A to jest politycznie groźne, bo ta grupa społeczna – w przeciwieństwie do najbiedniejszych i bezrobotnych, których bez obaw można piętnować – głośuje. Institute for Fiscal

Studies proponowane plany określił mianem „cięć trudniejszych do przyjęcia”, co jest ładnym określeniem na spodziewane wzburzenie społeczne. Żeby znaleźć te 12 mld, Cameron musi się zabrać za pięciogłową hydrę: tax credit (obecnie 30 mld funtów rocznie), housing benefit (21 mld), personal independence payment (15 mld), incapacity benefit (14 mld) oraz child benefit (12 mld). Walka o obniżenie wydatków na zasiłki została już przez konserwatystów przegrana. Za rządów koalicji wydatki na zasiłki zamiast spaść, wzrosły. I to o 3 mld funtów. Problem w tym, że w praktyce wyciśnięcie jakichkolwiek oszczędności z wyżej wymienionych pozycji będzie niemożliwe. Przy dzisiejszych założeniach wydatki chociażby na housing benefit mają do 2020 r. wzrosnąć o 3 mld fundów. Zatrzymanie czy wręcz odwrócenie tego trendu, zwłaszcza biorąc pod uwagę wzrastającą liczbę osób osiągających niskie dochody, skazanych na wynajem mieszkań i domów na prywatnym rynku, wydaje się nierealne. Nie tylko w Londynie i na południu Wielkiej Brytanii, gdzie czynsze są absurdalne. Majstrowanie przy tax credit i przy zasiłkach na dzieci to igranie ze społecznym ogniem tzw. wyborców middle-England, czyli klasy średniej i klasy średniej niższej, która stanowi tradycyjną bazę wyborczą dla konserwatystów. Z perspektywy budżetu również ograniczanie liczby bezrobotnych jest niekorzystne, gdyż wydatki na wspieranie pracujących, którzy zarabiają mało, są o wiele większe niż wydatki na zasiłki dla osób szukających zatrudnienia. Chyba że premier i kanclerz planują zmasowany atak na politykę socjalną i nie liczą się ani z politycznymi, ani ze społecznymi konsekwencjami.

DYM NA ULICY

Wydaje się, że plan jest już gotowy. W przyszłym miesiącu kanclerz George Osborne ma przedstawić „budżet awaryjny”, ale już dziś zdecydował się uchylić nieco rąbka tajemnicy. W zeszłym tygodniu przedstawił plan dotyczący 4,5 mld funtów oszczędności, a także pomysły na prywatyzację. Pod młotek mają iść państwowe udziały w bankach RBS i Lloyds, a także poczta,

Met Office oraz kanał telewizyjny Channel 4. Do tego jeszcze David Cameron zapowiedział wprowadzenie ustawy ograniczającej prawo do strajku związkom zawodowym, a także chce utrudnić im finansowe wspieranie Partii Pracy. Krótko mówiąc, premier ma zamiar robić wszystko to, czemu brytyjska opinia publiczna mocno się sprzeciwia. I to brytyjskie społeczeństwo może dziś zatrzymać torysów, biorąc pod uwagę fakt, że Labour – główna partia opozycyjna – jak na razie zajmuje się głównie sobą. Wybory na przewodniczącego Partii Pracy jak dotąd odbywały się w rytm wybijany przez blairystów – prawe skrzydło partii. Pomysły orbitowały wokół „słusznych kwestii w programie torysów” oraz lewicy bardziej przyjaznej biznesowi. Wejście do gry weterana Labour Jeremiego Corbyna, którego „The Sun” już zdążył nazwać „lewakiem kochającym terrorystów”, zmienia nieco akcenty. Radykalny Corbyn raczej nie wygra, ale może nieco zastopować tendencje innych kandydatów do skrętu w prawą stronę. Zanim to nastąpi i zanim Labour upora się sama ze sobą, odpowiedzialność opozycyjna spoczywa na społeczeństwie i ruchach pozaparlamentarnych. Zwłaszcza że polityczna siła Davida Camerona jest tylko pozorna. Torysi zdobyli pełnię władzy przy zaledwie 37-proc. poparciu, a większość parlamentarna wynosi tylko 12 i podatna jest na większą presję. A ta już się objawia. Marsz przeciwko polityce oszczędności zorganizowany w Londynie w zeszłą sobotę pokazał, że w brytyjskim społeczeństwie drzemie polityczny potencjał. Cięcia przygotowywane przez rząd mogą obudzić opinię publiczną z powybórczego letargu.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: eLondyn.co.uk